



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: PANI LATTER W OPALACH

Jak to intelektualnie mieni się i brzmi! - ów wywód Marii Brzostowieckiej na łamach „Filmowego Serwisu Prasowego”: „Nowy film Stanisława Różewicza wydaje się być ujmującym przykładem skromności reżysera, który potrafi usunąć się w cień, zrezygnować z manifestowania każdą wypowiedzią własnego stylu, by poprzez realność ekranu osiągnąć optymalne zbliżenie do literackiego pierwowzoru. W ten sposób reżyser także objawia własny styl, tyle że zadanie ma jakby trudniejsze. W rezultacie „Pensja pani Latter” to jeszcze jeden zwrot kina dzisiejszego ku perfekcyjności jego przekładów literatury. Film w tym zakresie spełnia oczekiwania widza, który nie jest skłonny godzić się na „poprawianie”, ulepszanie i w ogóle przeinaczenia, a zwłaszcza twórczości Pana Prusa. Jego powieści chcemy mieć w kinie w szczegółowym zapisie, z całym bogactwem realiów życia codziennego, z werystyczną dokładnością opisów miejsc i osobowych portretów, klimatu i zewnętrznych przeobrażeń społecznych. (...) No proszę! Tymczasem już na następnej stronie tego samego filmowego periodyku, sam reżyser zwierza się: „Nie można tego filmu odczytywać jako ilustracji powieści, każda adaptacja filmowa to pewien wybór wariantów, konieczność każe opuścić niektóre wątki i postacie. Zadaniem adaptacji jest rekreacja, pewien jej wariant, przekazany innymi środkami wyrazu (...)”. Więc kto ma ostatecznie rację?

Problem filmowych adaptacji dzieł literackich, „perfekcyjności” przekładów literatury na język kina, „optymalnego zbliżenia do literackiego pierwowzoru” - jest jak rzeka. I ma już swoją długą historię: zagadnienie to dręczy krytykę filmową niemal od samych początków kina, od czasu, kiedy „na podstawie” pięciotomowej „Wojny i pokoju” Lwa Tołstoja nakręcono dwunastominutowy film fabularny. Sięgając czasów współczesnych i własnego podwórka, warto przypomnieć falę burzliwych sporów i zażartych dyskusji, jakie, wywołało przeniesienie na ekran przez Andrzeja Wajdę „Popiołów” Żeromskiego. Obecne sięgnięcie przez Stanisława Różewicza do „Emancypantek” Bolesława Prusa, jako pierwowzoru jego najnowszego filmu, a przede wszystkim realizacja artystyczna tego zamierzenia, z pewnością doczeka się także dyskusji pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami filmowego utworu.

Nie jestem i nigdy nie byłem zwolennikiem niewolniczej „wierności” reżysera wobec dzieła literackiego. Literatura nie może być „przefotografowana” na ekran, a reżyser nie może

wikłać się w sieci drobiazgów - już prędzej można zrozumieć takie założenie w wypadku wieloodcinkowego serialu telewizyjnego. Ale w wymiarze kinowym, to znaczy półtora – dwugodzinnym, widz musi otrzymać coś, co jest kwintesencją dzieła literackiego, pomnożoną o wrażliwość, wyobraźnię artystyczną i profesjonalną zręczność twórcy, który podjął się trudu adaptacji. Z tego względu, na przykład, wolę ekranową realizację „Wojny i pokoju” dokonaną przez Kinga Vidora niż oszalałamiącą, skądinąd, rozmachem i dbałością, o pokazanie realiów epoki, adaptację Sergiusza Bondarczuka. Dlatego też, za najlepszą znaną mi adaptację filmową uważam „Panny z Wilka” Andrzeja Wajdy.

Stanisław Różewicz jest jednym z najbardziej znanych polskich reżyserów a walorów twórczych, jakie sobą reprezentuje, nie ma co wymieniać: autor „Wolnego miasta”, „Świadectwa urodzenia”, „Westerplatte”, „Samotności we dwoje”, „Pasji” i wielu innych filmów cieszy się zawsze zaufaniem publiczności. Myślę jednak, że obecny, najnowszy jego film, okazał się przedsięwzięciem niezbyt szczęśliwym. A dyskusyjna wydaje się przede wszystkim metoda, jaką przyjął sięgając do Prusowskich „Emancypantek”.

Z czterech tomów tej powieści postanowił Różewicz przenieść na ekran tylko tom pierwszy. Ten - opowiadający o przeżyciach bohaterki książki, Madzi Brzeskiej, damy klasowej na pensji pani Latter w Warszawie. Ów pierwszy tom, niewątpliwie najlepiej napisany w stosunku do pozostałych, posiadający najlepszą dramaturgię i najlepszą... intrygę w całej opowieści Bolesława Prusa o przemianach społecznych, intelektualnych, obyczajowych, zachodzących pod koniec dziewiętnastego stulecia w polskim społeczeństwie, w mentalności i poglądach kobiet; otóż ta napisana przez Prusa, z lekkim odcieniem ironii, opowieść o pierwszych polskich sufrażystkach, jest niewątpliwie najatrakcyjniejszym tworzywem dla scenarzysty i reżysera filmowego. Warszawska pensja dla dobrze sytuowanych pań. Jej wychowanki, ich nauczycielki, ich wzajemne relacje. Nowe prądy przenikające z zewnątrz w mury renomowanego, szacownego zakładu szkolno-wychowawczego. Rozdarcie dyrektorki pensji pomiędzy poczuciem obowiązku i zdrowego rozsądku, a zaślepioną miłością do niezbyt udanych własnych dzieci, co w końcu staje się przyczyną tragedii. Konfrontacja postaw i charakterów trzech tak różnych osobowości kobiecych jak „sufrażystka z konieczności” pani Latter, „sufrażystka-ekstremistka” pana Howard oraz „anielskiej niewinności” Madzia Brzeska... To wszystko może być kanwą do doskonałego, „samoistnego” filmu. Dlatego też Stanisław Różewicz dał mu tytuł „Pensja pani Latter” a nie: „Emancypantki”. Żeby niby nie było nieporozumień.

I nie byłoby żadnych nieporozumień, gdyby reżyser poszedł teraz swoją własną drogą. Żeby stworzył jakąś bardzo własną wizję, bardzo drapieżną, okrutną, czy też bardzo sentymentalną lub romantyczną wizję dziewiętnastowiecznej pensji dla pań. Nie byłoby wtedy mowy o „przenoszeniu literatury”, byłyby o „zainspirowaniu” jednym z wątków znanej

książki Prusa. Ale, uważam, gdy twórca filmowy przenosi na ekran dzieło literackie, które zrosło się na stałe z tradycją kulturalną kraju, ze znajomością całokształtu twórczości i światopoglądu klasyka literatury, nie wolno reżyserowi odkrawać ze znanej - choć z pewnością nie najwybitniejszej - powieści, odpowiadającego mu kawałka. Bo wtedy - mimo najpiękniejszej nawet ekranowej realizacji - umyka całokształt przedstawionego w książce problemu, no i całokształt myśli pisarza.

Powstałe w latach 1890-1893, pomiędzy dziełami tej miary co „Lalka” i „Faraon”, dużo od nich skromniejsze „Emancypantki”, rzucone są na szerokie tło nie tylko Warszawy, ale także polskiej prowincji. I ukazując życie ówczesnej społeczności w wielu środowiskach i w wielu - także w sensie geograficznym - miejscach, „kreślą one dzieje porażki idealizmu, uosobionego w ewangelicznej postaci Madzi Brzeskiej” - jak napisał jeden ze znawców Prusa. To jest naczelną myśl książki Bolesława Prusa. A tego nie widać - przynajmniej w sposób dostatecznie dostrzegalny - w filmowej „Pensji pani Latter”. Prędzej już będzie to film z gatunku psychologicznych - z niejaką zresztą skłonnością do melodramatu - z pewnym satyrycznym, tu i ówdzie (panna Howard), zabarwieniem. Ale po co było w takim razie mieszać w to wszystko „autentyczną” Prusowską panią Latter, pannę Howard czy Madzię Brzeską?

Inna sprawa, że film jest pięknie fotografowany, że nakręcony został z wielkim pietyzmem dla realiów epoki, i posiada ten szczególny, tak bardzo typowy dla Różewicza, „nastrój”. Reżyser znalazł też niezwykle wdzięczną odtwórczynię postaci Madzi Brzeskiej w osobie Hanny Mikuć (nie powiem tego o Klarze Howard w interpretacji, tak doskonalej przecież w wielu innych rolach, Haliny Łabonarskiej).

W sumie więc warto, oczywiście, wybrać się na „Pensję pani Latter”, nie dziwiąc się jednak, jeśli po projekcji opadną człowieka liczne wątpliwości oraz wrażenie niedosytu. Jakby opowieść filmowa - niby odcinek telewizyjnego serialu - została nagle urwana w istotnym dla „dalszego ciągu” momencie.